№ 30 WARSZAWA, DNIA 27 LIPCA 1912 ROKU ROK II

NASZ ŚWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DORASTAJĄCEJ MŁODZIEŻY.



Józef Ignacy Kraszewski.



W roku bieżącym, dn. 28 lipca, przypada stuletnia rocznica urodzin pisarza, który potężnym talentem, bezprzykładną pracowitością i szybkością tworzenia dzieł przeważnie wartościowych, niespożyte dla literatury naszej położył zasługi.

Był to Józef Ignacy Kraszewski, twórca powieści polskiej, historyk, poeta, dziennikarz, archeolog, dramaturg—dla którego żadna dziedzina pracy umysłowej obcą nie była. Był on synem Jana Kraszewskiego, ziemianina z Dołhego w gub. Grodzieńskiej—początkowo uczęszczał do szkół w Białej Radziwiłłowskiej, gdzie po raz pierwszy dostały mu się do rąk, złożone na strychu gmachu szkolnego stare szpargały, które wertował z zapałem.

Po ukończeniu czteroklasowej szkoły bialskiej, dla dalszego wykształcenia umieszczonym był w Lublinie, lecz po roku przeniósł go ojciec do bliższej swego majątku Świsłoczy, gdzie gimnazyum założone przez właściciela miasta, senatora hr. Tadeusza Tyszkiewicza, należało do najlepszych na Litwie.

Tam pod kierunkiem dobrych i uzdolnionych nauczycieli, Kraszewski polubił gorąco literaturę, studjując dzieła poważne.

W r. 1828 ukończywszy świsłockie gimnazjum z patentem i nagrodami, zapisał się w uniwersytecie wileńskim na wydział literacki.

Najświetniejsze czasy tej wszechnicy już minęły, jednak zamiłowany w swym przedmiocie profesor literatury Leon Borowski, nauczyciel znakomity, rozbudzić potrafił w swym uczniu prawdziwy zapał do pracy naukowej.

Tu Kraszewski zaczął pochłaniać gorączkowo wszystko, co w literaturze niemieckiej i francuskiej stworzyli pisarze znakomici: Hoffmann, J. P. Richter, Voltaire, Stendhal, Balzac i inni.

Wtedy też zaczyna Kraszewski próbować sił swoich, kreśląc drobne opowiadania, ballady i t. p. Pierwsze te utwory, niewątpliwie przez autora uznane za zbyt słabe, nie pojawiły się w druku.

W uniwersytecie tym przebył rok zaledwie; solidaryzując się z ogólnym nastrojem ówczesnej młodzieży, w r. 1830 dostał się do więzienia, skąd po roku uwolniony wskutek starań krewnych, przymusowo przebywał w Wilnie do r. 1833.

Przez ten czas pisał i drukował pierwsze swoje powieści (Pan Walery, Dwa a dwa cztery, Wielki świat małego miasteczka, Pan Karol). W utworach tych, wydawanych pod pseudonimem Kleofasa Fakunda Pasternaka, Kraszewski nie jest jeszcze sobą, lecz znać w nich wpływ czytanych autorów, a głównie Fryd. Skarbka. Wprowadza on do powieści żywioł nowy: mieszczan i niższe warstwy społeczeństwa, przedstawiając typy przeważnie ujemne, prawie karykaturalne.

Zdaje się, iż bujna natura autora bardziej skłaniała go do wyszydzania ujemnych stron człowieka, niż do idealizowania dobrych, gdyż to widzimy i w późniejszych jego dziełach. To samo da się powiedzieć o jego pierwszych powiastkach historycznych (Ostatni rok panowania Zygmunta III, Kościół ś-to Michalski w Wilnie). Z tych „Cztery wesela" źle dla niego usposobiły szlachtę i duchowieństwo: zarzuty ich zniechęcały go nawet do pracy, lecz chwilowo tylko; bez pisania już nie mógł żyć wtedy. Gromadził też materjały do wydanej później (1840 r.) Historji miasta Wilna. Gdy mu pozwolono w r. 1833 opuścić Wilno, udał się do Dołhego, gdzie spędził około roku, pisując do dziennika „Tygodnik petersburski" recenzje, oraz wiersze liryczne: nie stworzył jednak w tym kierunku nic wybitnego.

Po roku wyjechał na Wołyń i tu w Horodcu, w domu A. Urbanowskiego poznał przyszłą żonę swoją, Zofję Woroniczównę.

Pragnąc zdobyć sobie byt niezależny, posłał na konkurs, ogłoszony przez uniwersytet kijowski, rozprawę, która miała mu zapewnić katedrę literatury polskiej; praca jego okazała się najlepszą z nadesłanych, lecz do utworzenia tej katedry nie przyszło nigdy. Dopiero w r. 1837, gdy mu ojciec wziął w dzierżawę wioskę Omelno, Kraszewski się ożenił, lecz złe warunki wioski zniechęciły go do gospodarstwa i po trzech latach nabył na własność wieś Gródek w pobliżu Łucka.

Tam przeżył lat dziewięć, pracując na roli i piórem jednocześnie, do którego upodobanie przeważało w nim nad zamiłowaniem do gospodarstwa. Ztamtąd, jako już znany i głośny pisarz, zrobił wycieczkę do Warszawy (1846) gdzie go owacyjnie przyjmowano w najpierwszych domach.

(D. n.).



Gustaw le Rouge.



NIEWIDZIALNI.



Ciąg dalszy.

Najwięcej mię zaciekawiło owo wielkie naczynie, napełnione po brzegi świeżą krwią. Czy miano zmusić mię do jej wypicia, czy też było ono straszliwym symbolem czekającego mię losu? Jak długim będzie mój pobyt w tej klatce, który się niewątpliwie zakończy szaleństwem?

Usiadłem na dnie klatki, ponieważ nie było w niej żadnego sprzętu — i usiłowałem zebrać rozpierzchłe myśli. Napróżno jednak siliłem się przypomnieć sobie, w jaki sposób się tu dostałem. Jak to już mówiłem, we wspomnieniach moich istniała pewna przerwa; od śmierci Eoji, o której nie mogłem myśleć bez ściśnienia serca, urywały się one, wszystko zasłaniała jakaś mgła, której nie mogłem przedrzeć ani rozwiać. Zmusiłem się więc do przerwania rozmyślań o przeszłości, aby się zastanowić nad sposobami ucieczki.

Przychodziło mi to jednak z tem większą trudnością, iż miałem umysł tak wyczerpany i osłabiony, jak po użyciu haszyszu lub morfiny. Przypisywałem to odurzającej woni roślinek powietrznych, lecz wrażenie to słabło pod wpływem czystego powietrza, wpływającego przez drobne otwory w szkle.

Chodząc po mojem więzieniu, stwierdziłem, że jest najściślej kwadratowe i ma około czterech metrów w każdym kierunku; lecz najszczegółowsze poszukiwania nie wykryły śladów jakiegokolwiek otworu — drzwi, klapy, okien, lub czegoś podobnego. Ściany były z jednej sztuki a wpół-przejrzyste szkło wykluczało myśl o jakiemś ukrytem wyjściu.

A jednak musiałem się tu dostać jakimś otworem!

Opukiwałem ściany i dół mojej celki; wszędzie wydawały jednakowy odgłos, bez żadnej różnicy.

Położenie moje było takiem, jak owadu, zamkniętego w kartonowem pudełku: byłem tak samo bezbronnym a nie miałem tak mocnych żuchw, jak osy lub termity, wgryzające się w ściany domów.

Zdawało mi się, że będę mógł rozbić szklane ściany naczyniem, znajdującem się przedemną; cisnąłem więc je z całej siły na jedną z nich. Niestety, naczynie się rozprysło w okruchy, a ściany, z powodu swej grubości, pozostały zupełnie nienadwerężone! Jedynym skutkiem tego pomysłu było, iż zostałem obryzgany krwią od stóp do głowy, co mi było nad wyraz wstrętne.

Byłem jednocześnie wściekły i zawstydzony. Czyż to nie było upokorzeniem dla mnie, skończonego inżyniera, że marna warstwa grubego szkła trzymała mię w niewoli? Głód, który zaczynałem uczuwać, był

drugim bodźcem dla mojej wynalazczości: lecz napróżno łamałem sobie głowę — nic wymyśleć nie mogłem.

Zrozpaczony, przesiedziałem w kącie ze dwie godziny skurczony, bez ruchu, niby zwierz drapieżny w swej klatce.

Aż nakoniec, po wielu wysiłkach, przyszło zbawcze natchnienie! Przypomniało mi się pewne doświadczenie, którem nasz nauczyciel fizyki, zabawiał nas w piątej klasie i które w jego zwięzłym stylu nosiło nazwę: «Cudowny sposób przecinania szkła bez użycia djamentu».

Zrobiłem więc tak: zwinąłem w gałkę koniec poły mego ubrania z piór i zacząłem nią mocno trzeć jedną ze ścian. Po kwadransie tej roboty, szkło w tem miejscu było gorące tak, iż obawiałem się, aby pióra się nie zatliły. Wtedy zaczerpnąłem w rękę nieco rozlanej krwi i rzuciłem ją na gorące szkło.

Lekki trzask dał się słyszeć, cząsteczki szkła nagle ochłodzone oddzieliły się od gorących i na gładkiej ścianie ukazało się pęknięcie w kształcie promienistej gwiazdy. Powtórzyłem tę operację w drugiem, trzeciem i czwartem miejscu — z równem powodzeniem. Pot mię oblewał z wysilenia, ale przestrzeń zawarta między czterema pęknięciami, była dość wielką, abym się mógł przez nią wydobyć. Trzeba tylko jednego mocnego uderzenia, a cały ten kawał szkła wyleci na zewnątrz!

Przez chwilę jednak zawahałem się: rozsądek doradzał odłożenie ucieczki do nocy, gdyż odgłos pękającego szkła, oraz jego upadku, może sprowadzić moich prześladowców.

Z drugiej znów strony, rozważałem, że choćby nadeszli zaraz, to popękana ściana dostatecznem przeciwko mnie będzie oskarżeniem, gdyż zdradzi chęć ucieczki. Postanowiłem więć zaufać mej gwieździe i uciec natychmiast.

Uderzywszy z całej siły kolanem w miejsce ograniczone pęknięciami, zobaczyłem że wielki kawał szkła wypadł i to nawet z mniejszym hałasem, niż przypuszczałem, a to z powodu swej grubości.

Światło i powietrze napłynęły do wnętrza ożywczą falą! Naturalnie, skorzystałem natychmiast z tego otworu i wysunąwszy się z ostrożnością, aby się nie pokaleczyć, ujrzałem się na płaskiej platformie, poziomu równego z podłogą mojej celi. Byłem na szczycie olbrzymiej wieży, o średnicy przeszło pięćdziesięciu metrów, zbudowanej z takiegoż samego szkła wpół-przezroczystego, jak moje więzienie.

Powiedziałem: wieży — lecz był to raczej jakiś olbrzymi budynek, wewnątrz pusty i tworzący jakby niesłychanie głęboką studnię, której dna dojrzeć nie mogłem.

Wielkie mnóstwo celek, podobnych do tej, z której się wydobyłem, tworzyło ściany tej olbrzymiej, niesłychanej budowli. Ogarnęła mię ciekawość zobaczyć jak się zamykają te klatki, podobne do komórek w plastrze miodu.

Otóż, o ile mogłem to zbadać, każda ich ściana zasuwała się w rodzaj wyżłobienia w listwie metalowej i przytrzymaną była zamkiem z tegoż metalu, czerwonego i błyszczącego jak miedź.

Podobne ściany ruchome mają zastosowanie w menażerjach, przy klatkach dzikich zwierząt.

Bawiłem się po dziecinnemu, otwierając i zamykając celki sąsiadujące z moją: wszystkie były puste, lecz w każdej stała czara, napełniona krwią.

W wielu z nich, czary były już puste, a krew ściemniała i wyschła; w innych natomiast, były napełnione do połowy, jak gdyby ich ostatni mieszkaniec posilał się przed podróżą.

Obwód wieży przewyższał rozmiarami swemi Kolizeum rzymskie, przeszło trzy razy, a ponieważ u brzegu niebyło żadnej ba-

lustrady, zawrót głowy zaczął mię ogarniać.

Płomienne słońce zapuszczało swe promienie w głąb owej studni, zkąd dochodziły niewyraźne, zmieszane odgłosy. Wychyliłem się więc nieco, aby zajrzeć w dół...

Naliczyłem trzydzieści dziewięć pięter, podpartych szklanemi kolumnami — i wszędzie cele, jedna od drugiej odgradzane głęboką framugą, pełną cieniu. Wszystkie te cele, czy komórki, były ściśle jednakowych rozmiarów.

Promienie słońca nie sięgały niżej trzydziestego dziewiątego piętra: panował tam mrok, pokrywający może jeszcze równą ilość komórek... Zapytywałem się ze zgrozą, czy ta wieża, przerażająca swą jednostajnością, ciągnie się aż do wnętrza planety? I do jakiego użytku służyć mogły owe głębokie nisze, w których można było pomieścić miljony posągów?

Wszystkie kolumny były jednakowego kształtu i wymiaru: gładkie, okrągłe, bez żadnych ozdób, oprócz dwóch kul jako podstawa: dwie inne tworzyły kapitel. Każda kolumna, wraz z kulami, była coraz innego koloru, a wszystkie w promieniach słonecznych grały barwami tęczy, jak brylanty.

Nie mogłem się dość nasycić tym czarownym widokiem, który hypnotyzował mię swem olśniewającem migotaniem; czyniąc wysiłek nad sobą, odsunąłem się od brzegu, gdyż czułem że mię ciągnie ku sobie ta otchłań migotliwa...

Łamiąc sobie głowę nad przeznaczeniem tej wieży, doszedłem do wniosku, że widzę jakieś katakomby powietrzne, czy też cmentarz. Zapewne w niszach znajdują się zabalsamowane lub spalone na popiół ciała pomarłych Marsjan!

Niektóre szczegóły przeczyły jednak tym domysłom.

Olbrzymia wieża nie miała wcale wyglądu opuszczonego cmentarza, gdzie chętnie wschodzą rośliny, przyjaciółki ruin; tu w żadnej szczelinie nic nie rosło: wszędzie szkło miało świetny połysk nowości.

Nie chciałem się dłużej zastanawiać nad tą zagadką, którą przyszłość zapewne rozwiąże i odwróciłem wzrok od tych zaczarowanych kolumn na przyległą okolicę. Nigdy nie oglądałem czarowniejszego widoku, choć oczy moje już przywykły do wszelkiego rodzaju cudów!

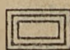
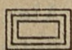
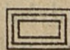
Ujrzałem morze, czysto fijołkowego koloru, którego fale, o wierzchach z piany różowej jak kwiat brzoskwini, płynęły łagodnie w stronę wybrzeża, które poszarpane i wzgórzyste, podobne było do stosu olbrzymich gąbek, porosłych krzakami korali o powyginanych gałęziach. Morze tworzyło głęboko w ląd zachodzące zatoki, wystające przylądki miały podobieństwo do fantastycznych zwierząt czy roślin, a cały ten bajeczny krajobraz, zalany złocistem światłem, przeglądał się w ciemno-fioletowej toni.

Bardzo daleko widniała góra szeroka, przysadzista; z jej szczytu wychodziła wstęga brunatnego dymu: był to pierwszy, widziany przezemnie na tej planecie, wulkan. W małem oddaleniu od wieży, w której się znajdowałem, naliczyłem jeszcze dwanaście takich samych! Wznosiły się z fal morskich, tworząc archipelag, olśniewający grą kolorów.

Przekonałem się wtedy, że nie posiadają one żadnych otworów: wszystkie miały jednakowe rzędy kolumn i arkad, lecz bez nisz głębokich. Budowa ich przypominała staroświeckie wizerunki wieży Babel, jakie się znajdują w dawnych wydaniach Biblji.

Nie mogłem ochłonąć ze zdumienia, tak wszystko to było nadzwyczajnem!

(D. c. n.) (Tłom. z fran. *K. W.*).



HERKULES.

Ciąg dalszy.

Pewnego razu, gdy nocowali w czasie popasu w jednej komnacie i pozasypiali twardo, wślizgnęła się do komnaty Hera ze sztyletem w ręku i zraniła Herkulesa. Przebudzony nagle bohater, nie wiedząc, co się robi, pochwycił w silne dłonie Ifidosa i udusił go.

Gdy młodzieniec martwy upadł na ziemię, opamiętał się Herkules i zobaczywszy co się stało, zapłakał, i jak szalony wybiegł z komnaty.

Długo błąkał się po najdzikszych lasach i najbardziej niedostępnych miejscach, unikając widoku ludzi.

Gdy się cokolwiek uspokoił udał się do Delf i prosił wyroczni o radę, w jaki sposób może odpokutować niewinnie zadaną śmierć.

Oczyściwszy się i przygotowawszy należycie zapomocą przepisanych kąpieli, ustroiła Pitja głowę w złote ozdoby, przyoblekła długą fałdzistą szatę, a kapłani powiedli ją do najświętszego przybytku Apollina.

Tam urwawszy garść liści ze świętego wawrzynu, wzięła je kapłanka i piła wodę ze zbiornika.

Po chwili posunęła się nad brzeg rozpadliny z której wydobywały się odurzające wyziewy i usiadła na przygotowanym trójnogu. Wkrótce wpadła w stan niezwykłego rozdrażnienia, drżała, przewracała oczyma i majaczyła, a kapłani spisywali szybko bezładne słowa, padające z jej ust.

Po długiej chwili wyszedł najstarszy z kapłanów z świątyni i rzekł:

— Morderca niewinnego Ifidosa niechaj się sprzeda za niewolnika na trzy lata, a sumą uzyskaną ze sprzedaży niech wynagrodzi ojca zamordowanego!

Pochylił Herkules głowę na piersi z poddaniem i nie namyślając się ani chwili, udał się na targowicę i wsunął się pomiędzy niewolników przeznaczonych na sprzedaż.

Zobaczywszy go na rynku i dowiedziawszy się jaki wyrok zapadł na Herkulesa, Hera namówiła bogatą królewnę lidyjską, aby Herkulesa kupiła. Stało się zadość jej życzeniu.

Za namową Hery, Omfale kazała zdjąć Herkulesowi lwią skórę, a przybrać szaty niewieście.

I zasiadł wielki i niepokonany dotąd bohater z niewolnicami królowej za kołowrotkiem i prządł i opowiadał dzieje swego żywota, a bojąc się łajania swej królowej, starał się o to, aby jaknajszybciej uporał się z przędziwem, przez nią wyznaczonem.

Hera była pewna że w poniżeniu i niewoli tej Herkules zniewieścieje zupełnie i osłabnie.

Ale Herkules, wtedy kiedy inne niewolnice szły spać, porywał ogromne młyń-

skie kamienie i ćwiczył się niemi i gdy trzy lata niewoli minęło, z radością zrzucił z siebie niewieście suknie, przybrał skórę lwa, ujął maczugę w rękę i ruszył na dwór króla Kalidońskiego, którego oblegał bożek rzeki Acheloos..

19. Zdobycie Dejaniry.

Dejanira, córka króla Kalidońskiego, a siostra Meleagra, w niemałym była kłopocie, oświadczył się bowiem o jej rękę bożek Acheloos, a powtarzał swoje oświadczyny już po raz trzeci.

Pierwszy raz przybył w postaci byka, drugi raz w postaci smoka złocistego, a trzeci raz w postaci człowieka o łbie byczym. Za każdym razem ciekły z niego strumienie wody.

Rozumie się, że taki potworny oblubieniec nie podobał się Dejanirze, ale ojciec jej dumny był z tego, że bożek stara się o rękę córki jego i już układał się, aby mu ją oddać.

Herkules w czasie wyprawy do podziemia po Cerbera, spotkał się z Meleagrem i Meleager prosił go, aby po powrocie z podziemia odwiedził jego siostrę.

Ustawicznie zajęty Herkules nie miał czasu wywiązać się z przyrzeczenia i teraz dopiero, po trzechletniej niewoli, postanowił wykonać to zlecenie.

Przybył w samą porę, a że Dejanira podobała mu się bardzo, postanowił i on wystąpić w roli starającego się.

Z powiewającą skórą lwią, wywijając maczugą, kroczył wspaniały i groźny do pałacu królewskiego.

Zobaczył go bóg rzeczny, stojący przed pałacem w postaci półludzkiej i przeczuwając w nim rywala potrząsł łbem i pruł powietrze rogami.

— Królu, proszę cię o rękę twej córki!

— Po raz ostatni królu, proszę o rękę Dejaniry — zawołali równocześnie prawie obydwaj rywale.

(D. n.)

MYŚL.

Zrodzona w ciszy, w rozmyślań godzinie,
Z siedliska duszy wybiega skrzydlata —
Jak gwiazda — jasna, jak ptak — wolna,
płynie
Na krańce świata...

I obejmuje życia widnokręgi,
Jak łukiem tęczy, swojem światłem złotem,
Dążąc na szczyty siłą swej potęgi
Sokolim lotem...

A czasem z wyżyn loty swoje zniża —
Jasnych jej skrzydeł żaden pył nie plami —
I płynie z pieśnią z pod czarnego krzyża
Ponad polami

A granic nie zna, nic jej
I rwie się naprzód, j
A tchnieniem sw

A światem jej są — wszechśw

Krąży w bezmiarze szlakam
Myśl mędrca i dusz młodzi
I my



BOLESŁAW PRUS

SIEROCA DOLA.

Ciąg dalszy.

Pani Karolowa przypatrywała się niekiedy tym pedagoglcznym ćwiczeniom, lecz uważając je za zabawkę, śmiała się z nich i taiła je przed mężem. Już to wogóle Jaś nie cieszył się jej względami!

Znudziwszy się wykładem arytmetyki i czytaniem, obaj chłopcy zarzucili je i wzięli się do łaciny. Zadawali Jasiowi do wyuczenia się na pamięć całą deklinację, albo kilkanaście i kilkadziesiąt słówek od razu: nie dość na tem: chcieli, aby się wyuczył ich w ciągu pół godziny.

Pan Karol tymczasem, w ciszy gabinetu pracował nad ustawą warsztatów kobiecych, a pani Karolowa mówiła do chłopców z uśmiechem:

— Nie męczcie się tak, moje dzieci, przecież to wakacje!...

Musimy, mamo! —odpowiadał wtedy
niego będzie, jeżeli w mło-
rzyzwyczai się do pra-

głaszcząc nad
łała:
On wy-

nau-
wy-
mu
ze-
ył,
lo-

łu każdodziennego raportu podpisywali się obaj własnoręcznie.

Pewnego razu, młodzi pedagogowie, wyczerpawszy wszelkie „środki łagodności”, poszli do matki z prośbą: aby Jasiowi nie dała obiadu za lenistwo. Prośba ta nie podobała się pani Karolowej. W łagodny, lecz stanowczy sposób upomniała ona chłopców, aby się z Jasiem mniej surowo obchodzili, i odebrała im przy tej sposobności pewną „oślą czapkę”, którą Jaś prawie ciągle nosił na głowie.

Innego dnia, pan Karol, już zupełnie znudziwszy się ustawą pracowni kobiecych, zapytał swoich chłopców:

— No, moje dzieci, jakże się tam popisuje wasz uczeń?

Chłopcy podali mu dziennik. Pan Karol przejrzał go i zapytał w obecności Jasia:

— Cóż to znaczy?... widzę tu same złe stopnie.

— Ha! co robić, proszę ojca, kiedy się źle uczy...—odparł Edzio.

— Czy nie ma zdolności?

— I zdolności nie ma, i trochę nie chce...

Słysząc to, Jaś oblał się ponsem.

— Czy to prawda Jasiu? — zwrócił się do niego pan Karol.

Jaś milczał, spuściwszy oczy; wyręczyła go jednak pani Karolowa, mówiąc:

— Oni nad nim bardzo pracują, sama to widzę!... Ponieważ zaś są złe rezultaty,

musi mieć zatem niewielką ochotę do książki.

Jaś wpił sobie paznogcie w ręce i pierwszy raz w życiu uczuł to, co ludzie dorośli nazywają: brakiem szacunku dla starszych. Pan Karol tymczasem, przybrawszy surowy wyraz twarzy, mówił spokojnie i sucho:

— Mój Jasiu! zrobiłeś mi wielką przykrość. Przypuszczam, że nie masz zdolności, lecz obok tego widzę ze smutkiem, że brakuje ci ochoty. Ponieważ każdy czyn niedobry musi być zmazany przez pokutę, my więc jutro wyjedziemy na parę dni na wieś, a ty zostaniesz w domu!

Na drugi dzień państwo Karolowie wyjechali na wieś z dziećmi, a Jaś został sam. Nowe wrażenia dostarczyły mu obfitego materjału do medytacji.

Zrozumiał dwie rzeczy: naprzód tę, że nauka, udzielana mu przez chłopców, była złośliwem udręczeniem— a powtóre tę, że pan Karol postąpił z nim niesprawiedliwie. Jaś przecie uczył się niegdyś arytmetyki i pojmował ją doskonale; łatwo też domyślił się, że Edzio nie musiał być tęgi w ułamkach. Uczył się także czytać, lecz nigdy nie słyszał, aby ktoś czytał z książki, przewróconej do góry nogami. Uczył się wreszcie obcych języków, lecz nie tak, jak łaciny.

Przypomniał on sobie, w jaki sposób matka zaznajamiała go z wyrazami francuskiemi. Ile razy wyszli na spacer, i Jaś zobaczył nowy przedmiot, wówczas matka tłómaczyła mu jego znaczenie, opowiadała mnóstwo ciekawych szczegółów i wkońcu nazywała przedmiot ten po francusku. Tym sposobem, bez wysiłku, wśród zabawy, chłopiec wyuczył się mnóstwa obcych wyrazów. Umiał on nazwać: niebo, obłoki, ptaki, staw, młyn, ryby, łąki i zwierzęta, które się na niej pasły. Wkrótce też począł układać małe zdania.

Odtąd, ile razy spojrzał na znany przedmiot, przychodziło mu zaraz na myśl jego francuskie nazwisko, gdy zaś usłyszał wyraz, wnet przypominiał sobie zapach siana, klekot młyna, ryby, wyskakujące nad powierzchnię wody, szelest trzcin na stawie, słowem całą piękną wiejską naturę. Nudna zwykle nauka słówek dla niego była przyjemną i podniecającą rozrywką; nie dziw też, że uczył się chętnie.

Obok tego łatwego i poetycznego wykładu, jakże ponuro wyglądała łacina! W umyśle Jasia była ona podobna do strasznej jaskini, wśród której ani kroku nie mógł postąpić naprzód i w której nieustannie brzydkie sowy i nietoperze uderzały go w głowę, wrzeszcząc: mądrość— sapientia, bocian—ciconia, okręt - navis, rocznik—annalis!... Nad tą obmierzłą czeredą unosiły się jeszcze dwa smoki: pierwsza i druga deklinacya, których nie mógł ani zrozumieć, ani zapamiętać.

I otóż za to, że czuł wstręt do straszydeł, które wypuścili na niego rówieśnicy, za to, że się nie chciał błąkać wśród ciemności, — pan Karol nie wziął go na wieś, zabraniał mu patrzeć na niebo, wody i lasy, upajać się powietrzem lat dziecinnych. A któż wie, czy w czasie wieczornej przechadzki ciepły wiatr nie przyniósłby mu dawno już nie słyszanych wyrazów:

— Jasiu!... Jasiu!... wracaj do domu, bo się zaziębisz...

A dziś, gdzie ten dom i gdzie ta, która go tak niespokojnie wzywała?

Wyjazd państwa Karolów obudził w sercu Jasia niepokonaną tęsknotę do wsi. Zapragnął jeszcze raz zobaczyć szare stodoły, kryte słomą, dwór, wyglądający z poza ciemno-zielonych liści, a w końcu Antosię, pana Anzelma i całą ich rodzinę. Zdawało mu się, że po śmierci matki oni jedni pozostali tylko na tym świecie. Przypomniał sobie rozstajne drogi, rozwaloną kapliczkę i pożegnanie pana Anzelma.

Wszakże od tych rzeczy nawet rok nie upłynął.

Myśli te obudziły w nim, jak na jego wiek, bardzo dziwne postanowienie, i otóż— zapragnął do pana Anzelma napisać list. Pamiętał nazwisko poczty, z której pan Anzelm odbierał pisma, i wiedział, że przy bramie ich kamienicy wisiała pocztowa skrzynka. Dwu tych szczegółów było dla niego dosyć. Wziął więc papier, poliniował go i zaczął:

„Kochany panie.

Mama chciała pisać do pana, ale już umarła”...

Przeczytawszy te wyrazy, wyrazy, rzucił pióro i zalał się rzewnemi łzami. „Już umarła!”... Jakie straszne słowo, i to on sam je napisał!

Odtąd po kilka razy zasiadał do rozpoczętego listu, na którym duże i nieforemne litery niejednokrotnie rozpływały się we łzach. Wreszcie, po kilku dniach, rzucił zaadresowany list do skrzynki, a wkrótce potem przechodzący przez pocztę, w szafce nieopłaconych korespondencji, widzieć mogli między innemi adres, pisany ręką dziecinną:

„Do rąk własnych wielmożnego i kochanego pana Anzelma... w Wólce, żeby prędko doszedł”.

Zabawny ten adres był mimo to dokładnym; na nieszczęście jednak, na kopercie nie było marki!... List musiał przepaść, choć kto wie, czy od niego nie zależała przyszłość, a nawet życie Jasia.

Gdy rodzina filantropijna wróciła ze wsi, pan Karol dostrzegł w Jasiu zmianę. Chłopiec patrzał na wszystkich śmiało, lecz ponuro. Gdy Edzio i Tadzio zaczęli opowiadać mu o konnej jeździe, pływaniu czółnem i wdrapywaniu się na drzewa, przerwał im, mówiąc:

— Znam ja to lepiej od was!

I wyszedł, nie wysłuchawszy końca ich opowiadań.

Na domiar złego, do książki siadał niechętnie, a gdy mu improwizowani nauczyciele wyrzucali lenistwo, odpowiadał:

— Żebym ja was tak uczył, wypędzilibyście mnie z domu!...

Zdarza się, że owad, schwytany przez dziecko, traci na chwilę przytomność i zachowuje się tak, jak rzecz martwa. Dopiero gdy go wsadzą na szpilkę, poczyna się wić i usiłuje kąsać. Jaś już się wił. Słabszy charakter w jego położeniu uległby i do śmierci pozostał zabawką dzieci i dorosłych; Jaś nie uległ, i to go zgubiło. Pan Karol bowiem, widząc nieustanne rozdrażnienie sieroty i grzeczność swoich synów, posądził Jasia o złośliwość.

— Tyle miałem sympatji dla tego chłopca,—mówił raz do żony—ale on nie umie tego ocenić, i jak uważam, nie lubi ani nas, ani naszych dzieci.

— Tak zawsze bywa z cudzem pisklęciem!...—odparła żona, całując męża w zadumane czoło.

Wkrótce pan Karol znowu zapomniał o sierocie, a nawet o ustawie pracowni dla kobiet. W tym czasie bowiem ruchliwy i wiecznie na usługi społeczeństwu oddany umysł jego zajął się kwestją budowania blaszanych śmietników dla miasta. Odtąd pan Karol począł naradzać się z technikami, blacharzami, kołodziejami— i ze swych nowych marzeń ocknął się nie prędzej, aż w domu wybuchnął skandal.

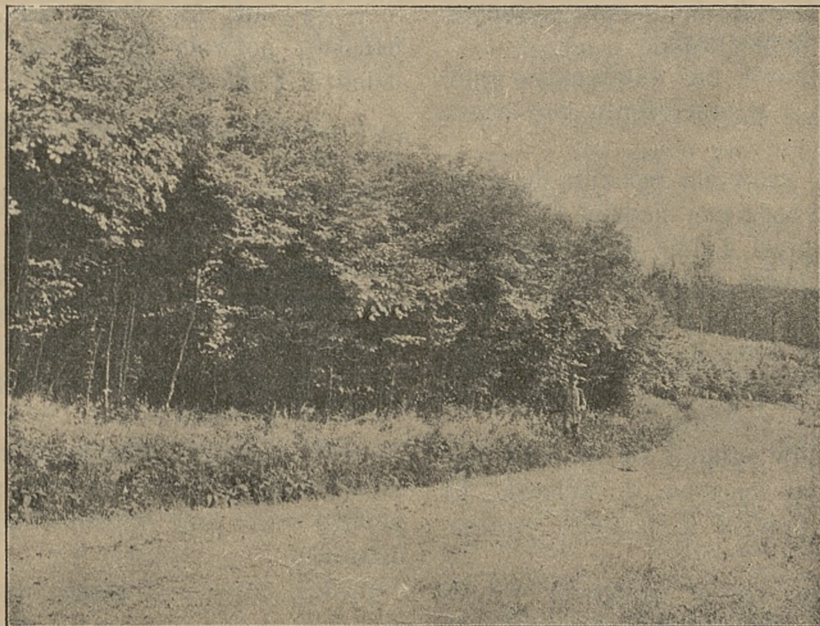
Pewnego dnia, Jaś, jak zwykle, w pokoju chłopców uczył się łaciny i, jak zwykle, nauka szła mu niesporo.

D. c. n.



POLANKA W LESIE. (Z naszych krajobrazów).



LAS BUKOWY. (Z naszych krajobrazów).



REGALJA KRÓLEWSKIE.

(Przygody profesora Nickiego i jego famulusa. Pawełka).

Opowiedział Edmund Jezierski.

Ciąg dalszy.

Dopiero teraz spostrzegli wszyscy co się stało..

Tomasz schwycił za lejce a bat, i szarpiąc konie i bijąc je, wołał:

— A wy, zatracone... a gdzieżeście wy zalazły... a bodaj was...

I oglądał się na wszystkie strony, jakby szukając najbliższej drogi do wydobycia się z ciągnącego się wokoło, szmaragdowego łanu koniczyny.

Pani Marcinowa na wzmiankę o gminie struchlała, i w przerażeniu powtarzała tylko:

— O Jezu... znów nas wpakują do aresztu... znów tam będziemy siedzieć.. O Jezu...

I jakby ta myśl dodała jej energji, porwała się z miejsca, i tłukąc Tomasza pięścią w kark, powtarzała:

— To twoja wina, gamoniu.. twoja wina... czemużeś spał, a nie patrzał na konie... O ja nieszczęśliwa...

Pawełek znów oglądał się na wszystkie strony, szukając sposobu do ucieczki, by módz znów przyjść z pomocą profesorowi.

Ten ostatni tylko zachował spokój i zimną krew... Obudzony z zadumy, skłonił się jeźdźcowi, gdy ten zbliżył się do do bryczki, i rzekł:

— Panie szanowny... Proszę się nie unosić.. Wszelkie szkody, jakie, dzięki naszej nieuwadze, konie wyrządziły, zwrócimy... Proszę tylko je obliczyć a wnet je zwrócę...

Sięgał już po portfel, by słowa swoje w czyn zamienić, gdy jeździec znacznie już łagodniejszym głosem rzekł:

— Ja tam nie będę tego obliczać... państwo pozwolą do dworu to już tam dziedzic z niemi się obliczy...

— A więc proszę, niech pan nas poprowadzi...

Tomasz tymczasem uspokoił się z końmi, skierował je z powrotem do drogi i bryczka, eskortowana przez srogiego jeźdźca, powoli z łanu koniczyny wyjechała na drogę.

— Czy daleko stąd do dworu? spytał ciekawie profesor.

— Nie bardzo... Ale będą musieli państwo zaczekać tam na dziedzica, gdyż pewnie jest przy kopaniu starego grodziska.

Profesor Nicki aż drgnął, posłyszawszy tę nazwę. Oczy mu błysnęły, a głos nabrał metalicznego dźwięku.

— Grodziska?! zawołał, unosząc się na

miejscu:—grodziska... Prowadź nas pan tam zaraz... prowadź...

Ekonom, zdumiony, cofnął się w tył, nie rozumiejąc, co to może oznaczać.

— Gdzie?... zapytał.

— A tam, do tego grodziska... odrzekł mu profesor, uspakajając się powoli...

— Ach, do grodziska, — rzekł ekonom: ale to kaducznie daleko... lepiej będzie zaczekać we dworze...

— Nie... nie... mój panie drogi.... niech pan nas tam zaprowadzi... jaknajprędzej... Albo, zresztą, niech bryczka jedzie do dworu, a ja pójdę z panem pieszo...

I już zamierzał wyskoczyć z. bryczki, gdy ekonom, zatrzymując go, rzekł:

— Niech pan już tam zostanie.. Pojedziemy łepiej, bo to bardzo daleko!...

I wysunąwszy się naprzód, wskazywał drogę podążającej za nim bryczce...

Po dość długiej jeździe ujrzeli nareszcie na małym wzgórku kilku ludzi, stojących wokoło rozkopywanego dołu...

Właśnie jeden z mężczyzn nachylił się nad dołem i wziąwszy z rąk kopiącego robotnika jakieś naczynie, bacznie przyglądać mu się zaczął:

Na ten widok nie mógł wytrzymać już profesor...

Zerwał się z bryczki i zawołał do Tomasza:

— Stój!...—I choć ten nawet nie zdążył jeszcze zatrzymać koni, wyskoczył z bryczki i pędem pobiegł w stronę wzgórza...

Któż opisze zdumienie zebranych na niem mężczyzn, gdy zjawił się on przed nimi, i chwytając ono naczynie, oglądać je bacznie począł, mrucząc pod nosem:

— Przepysznie zachowany egzemplarz... przepysznie... a w środku?... i zanurzywszy rękę w urnie, wydobył z niej parę kawałków kości...

— Tak... kości,—mruknął, poczem zwracając się do zdumionego mężczyzny, spytał:

— Czy tylko tę jedną urnę znalazł pan tutaj?...

I dopiero wtedy, spostrzegłszy w jego wzroku wyryte zdumienie, dodał:

— Ach, przepraszam, zapomniałem się panu dobrodziejowi przedstawić...

Postawiwszy urnę na ziemi ostrożnie, zdjął kapelusz, i podając rękę, rzekł:

— Jestem Nicki, z Warszawy...

— Profesor Nicki!... zawołał ucieszony widocznie tem nieznajomy: a toż niebo nam pana zsyła... zkąd się pan tu u nas wziął?...

— A to, proszę łaski pana dziedzica,— wtrącił się ekonom, który właśnie w chwili tej podjechał—zająłem konie tego pana z bryczką w szkodzie... Prawie cały zagon koniczyny wyżarty i wytratowany... Chciałem prowadzić do dworu, ale jak ten pan dowiedział się, że pan dziedzic jest przy kopaniu grodziska, naparł się koniecznie tu jechać...

— Dobrze, dobrze, mój Morawski — rzekł dziedzic.

— Pan dziedzic będzie łaskaw ściągnąć karę... Cały zagon pięknej koniczyny na nic!—ciągnął dalej ekonom...

— Ależ dobrze, dobrze... mój Morawski,—zniecierpliwionym głosem rzekł dziedzic—już ja to załatwię; może Morawski wracać do swojej roboty...

Ekonom, gniewne spojrzenie rzuciwszy na profesora, zawrócił i pomknął na koniu dalej, a dziedzic, zwracając się do profesora, rzekł:

— Proszę, nie zważać, profesorze na jego gadanie... Jestem niewymownie rad, że mam pana u siebie... Wyjaśnisz mi wiele kwestji z tym grobowcem...

D. c. n.

„O własnych siłach“.

Męki Tantalowe.

Opowiadanie ze świeżo przeżytych wrażeń.

Egzaminy!

Ten wyraz tak łatwo określić, tak lekko wymówić, a wyczuć go mogą tylko ci, którzy z racji jego pędzili noce bezsenne przy książce, w której litery tańczyły zygzakowatym korowodem, którzy w snach swoich widzieli jedynie stopień dostateczny — i promocję, i wreszcie ci, którym tylko dobre zdanie egzaminu miało zapewnić przyszły rok nauki. a może i przyszłość całego życia.

— Adaś, słuchaj!

— Co?

— Wiesz, łeb mi pęknie od tej algebry.

— Daj, biedaku, o co chodzi? wytłómaczę ci.

Przy tych słowach jasny blondynek o zmęczonym wyrazie twarzy, o podkrążonych od niewyspania oczach, wziął od drugiego, wątłego paniczyka kajet z formułami, a przejrzawszy, pokreślił, poprawił, przyczem uśmiech pojawił mu się na ustach i wyrzekł, oddając mu kajet:

— Patrz, pomieszałeś algebrę z arytmetyką.

Kaźkowi stanęły łzy w oczach.

— Adek, jakiś ty dobry, gdyby nie ty i nie twoja pomoc, dawnoby mnie zjedli na tych egzaminach.

— Nie opowiadaj! Połóż się już. Patrz, pierwsza godzina — prosił Adek — zachorujesz i nietylko nie zdasz egzaminu, ale nawet nie będziesz mógł pojechać po tych torturach do domu.

— Nie bój się! Nietylko pojadę, ale i ciebie zabiorę. Ach, żeby to się prędzej skończyło!

— Och! westchnęli zgodnie.

— No, słuchaj! jutro matematyka, jak dobrze pójdzie, to reszta figle. Aby jutro, aby jutro!

— Może jakoś Bóg da.

— Daj Boże!

— A teraz powtórzmy jeszcze ostatnie paragrafy, potem spać, jutro rano wstać, jeszcze raz powtórzyć i do budy — mówił niezbyt pochlebnie o ognisku wiedzy Adaś.

Pochylił się nad książkami. W mdłem świetle lampy, głowy ich słabo się odcinały od cieni zalegających pokój. Senne głosy, powtarzające suche formuły, brzmiały w tej ciszy jakoś głucho i złowrogo. Lampa gasła. Czupryny kiwały się jeszcze kilkanaście minut, głosy coraz słabiej, coraz niewyraźniej odzywały się, aż umilkły. Głowy opadły na rozłożone książki i kajety, a z ust dały się słyszeć nierówne westchnienia zmordowanych piersi...

Lampa zgasła, lecz przed oczami ich duszy lśniło jedno, wielkie, złociste 5.

. . . .

Ruch i gwar, jak w ulu, kiedy pszczoły zbierają się na obiór nowej królowej, aby z nią, jak chłopcy z nową wiedzą, wylecieć w świat.

Lecz nie wszyscy tu byli gwarni i ruchliwi.

Częściej głowa wsparta na ręku, oczy zapatrzone w wiedzodajną księgę a mózg wysilony, by to objąć i zapamiętać.

Kazio i Adaś byli na miejscach.

Obaj bladzi, niespokojni, z czerwonemi od bezsenności powiekami, przerzucają gorączkowo ostatnie karty, aby dobrze zapamiętać wszystkie formuły, aby je przypomnieć sobie na czas. Oczy ich kierują się co chwila ku drzwiom, któremi ma wejść nauczyciel, a pobladłe usta szepczą:

— Aby prędzej, aby prędzej!

Wreszcie dzwonek.

Wchodzi nauczyciel czarno ubrany, jak zwiastun żałoby, bo niejednemu dzień ten przyjdzie się zapisać smutnie. Bystrym wzrokiem ogarnia całą salę i zebranych w niej chłopców, a z trzymanej w ręku kartki, zaczyna dyktować zadanie.

W sali, jak makiem zasiał.

— Daję wam 2 godziny czasu na rozwiązanie, — rzekł, gdy skończył dyktować—proszę, by każde skończone zadanie, składano na katedrę. Proszę zaczynać!

I pogrążył się w czytaniu jakiejś książki.

. . . .

Druga godzina mija. W ławkach szmer, skrzyp piór, coraz to zaciętszy, coraz to więcej gorączkowy, uczniowie jeden po dru-

gim wysuwają się z ławek, odnosząc swe wypracowania.

Kaziek z kroplami potu na czole i skroniach, błądzi wzrokiem po sali, jakby szukając tam ocalenia i poplamionemi atramentem palcami, przyciska rozpalone czoło.

Wreszcie wstrząsnąwszy się, zaczął z rezygnacją pisać. Adaś, siedzący obok niego, skończywszy dawno zadanie, czekał na Kaźka, gotów mu w ostatniej chwili dać do przepisania, patrzał na niego wciąż przez ramię, a ujrzawszy, iż ten pisze, odetchnął. Upłynęła jeszcze chwila.

Nauczyciel wstał i wyrzekł.

— Skończone. Proszę dawać kajety.

Z ławek poczęły się wysuwać postacie, podające z niepokojem swe zeszyty. Adaś spojrzał z obawą na przyjaciela, ale widząc, iż ten wstał i zaniósł swe zadanie — uczynił to samo.

— Możecie wyjść — ogłosił nauczyciel.

Wszyscy wyszli.

Najstraszniejszy dzień Tantalowych mąk skończył się.

. . . .

W trzy dni potem, znów wszyscy się zebrali w tej samej sali, aby wysłuchać o sobie wyrok. W pierwszych ławkach widać było troskliwego o przyjaciela Adasia i niespokojnego o siebie Kazia.

— Zrobiłeś zadanie?

— A ty?

— Ile ci wypadło?

— Mnie... tu następowały różne sumy całkowite, i nie - dodatnie i ujemne i t. d.

Takie i tym podobne pytania i odpowiedzi krążyły gęsto po sali, wskazując, iż większość zajęta była rezultatem z algebry.

Wreszcie drzwi się otworzyły i komplet nauczycieli, z dyrektorem siwym jak gołąb, wkroczył do sali, zajął miejsca ustawione przy stole, pokrytym zielonem suknem i sekretarz szkoły począł czytać listę promowanych do klasy 4-ej.

— Arbuzowski Antoni, Brodzki Stanisław, Dunikowski Adam.

Z ust Adka wyrwał się okrzyk cichy a radosny, lecz natychmiast stłumiony niepokojem o losy przyjaciela.

— Kałczyński Henryk, Śliwicki Józef, Zagórski Kazimierz.

— Och! — padły dwa okrzyki z piersi stojących obok siebie przyjaciół.

— Adam Duninowski, do stołu!

Adaś wyszedł z ławki i zbliżył się do dyrektora.

— Za to, żeś był zawsze wzorowym uczniem i posłusznym chłopcem; za to, żeś nigdy zmartwienia nikomu nie sprawił — przyjm to, jako pamiątkę — mówił sędziwy dyrektor wręczając mu ładnie oprawną książkę.

Wzruszony Adaś, schylił się do ręki zacnego wychowawcy, który go przycisnął do piersi i złożył ojcowski pocałunek na jego czole.

Na drugi dzień wiózł pociąg chłopaków hen w dal, gdzie szmaragdowa linja lasów czerni się na horyzoncie, gdzie czystsza woda w modrym ruczaju, gdzie spokojniejsze życie w białym dworku nad kryształowym str... kiem, gdzie inaczej słońce świeci ... chanem Kazika Zagórzem.

Łamigłówka sylabowa

ułożona przez Marylkę J. z Nałęczowa.

Z następujących sylab ułożyć 17 w... których początkowe litery, czytan... na dół, utworzą tytuł najnowszej... dla młodzieży, współczesnego pov... rza polskiego, końcowe zaś czyt... samym kierunku, jego imię i ...

Sylaby: li, ci, ban, cin, d...

7. Zaimek osob. liczb. mn. w 4 przyp.
8. Rzeka w Azji.
9. Kraj w Azji.
10. Góra ogniem ziejąca.
11. Miasto w Królestwie Polskiem.
12. Gatunek śledzi.
13. Dramaturg grecki (wspak).
14. Imię męzkie.
15. Miasto w Stanach Zjednoczonych.
16. Zwierz.
17. Skamieniałości zwierzęce (wspak).

Logogryf sylabowy

ułożony przez Ef - Ha.

Z następujących sylab ułożyć 15 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry na dół i końcowe z dołu do góry, utworzą imię i nazwisko sławnego geografa polskiego.

Sylaby: wa, a, cy, łob, a, wy, ney, a, lo, kry, o, wy, sa, ko, i, ha, rak, prys, zów, pol, nik, mi, re, pian, łów, me, żeł, go, ta, za, bi, chał, na, wiec, ra, sław, ci, wa, ło.

Znaczenie wyrazów:

1. Sekta mahometańska.
2. Napój wyskokowy.
3. Drzewo iglaste.
4. Wieś pod Krakowem.
Bóg słońca.
...ej rezultat.
...ski.

... tyl-
... e-

8. Środek cyrku.
9. Roślina.
10. Osada w gub. Lubelskiej.
11. Rzeka w Austro - Węgrzech.
12. Pies myśliwski.
13. Drzewo egzotyczne.
14. Ciało niebieskie.
15. Imię męzkie.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 24.

1.	Sahara	Stefan Batory.
2.	Turyn	
3.	Ewa	
4.	Faraon	
5.	Arbuz	
6.	Nafta	
7.	Bocian	
8.	Akwarjum	
9.	Tygrys	
10.	Ocet	
11.	Radom	
12.	Y	

Rozwiązanie zadania z N-ru 26.

Szkoda pereł, które giną w mórz toni
Szkoda uczuć, które młodość roztrwoni.

Rozwiązanie łamigłówki sylabowej z Nr. 24.

1.	Woda	Wright.
2.	Rzymianie	
3.	Indyk	
4.	Grzybień	
5.	Huśtawka	
6.	Tissandier	

Adres Administracji—Nowy-Świat 53.

Adres Redakcji—Ordynacka 8 m. 7.

TREŚĆ NUMERU:

...cta w Warszawie. Ordynacka 3